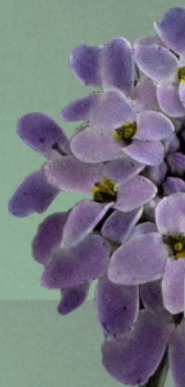




BRITTA RÖSTLUND

U STÓP  
MONT  
MARTRE

MARGINESY





BRITTA RÖSTLUND

U STÓP  
MONT  
MARTRE

Przełożyła Agata Teperek

MARGINESY

*Vid foten av Montmartre*

COPYRIGHT © Britta Röstellund,  
FIRST PUBLISHED BY Norstedts, Sweden, IN 2016.  
PUBLISHED BY AGREEMENT WITH Norstedts Agency, Sweden  
AND Book/lab Literary Agency, Poland

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agata Teperek  
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,  
WARSZAWA 2018

Pod numerem 73 przy Boulevard des Batignolles w Paryżu mieści się mały sklep kolonialny. Angielskojęzyczni turyści mówią na takie sklepy *arabic shops*. Nie spotyka się to z uznaniem właściciela sklepu kolonialnego przy Boulevard des Batignolles, choć zazwyczaj tego nie komentuje. Na bulwarze nie ma zresztą aż tak wielu turystów. Większość porusza się w okolicach Pól Elizejskich, wieży Eiffla, Luwru i Łuku Triumfalnego.

Ci, którzy pragną odkryć „prawdziwy” Paryż, udają się na przykład do Château Rouge i włączając się po okolicy – w bezpiecznej odległości od wejścia do metra – chętną się swoją odwagą i obyciem w świecie. Prawda jest jednak taka, że nie ma jednego prawdziwego Paryża. Miasto jest schizofreniczne. Jeśli chce się je odkryć, najlepiej robić to z którejś z miejskich ławek. Z nich można przyglądać się, jak kilka milionów ludzi próbuje znaleźć swoje miejsce na świecie.

Jednym z tych odkrywających Paryż każdego dnia jest Mancebo, który siedzi na taborecie przed swoim sklepem kolonialnym pod numerem 73 na Boulevard des Batignolles.

Paryskie sklepy kolonialne wyróżnia to, że najczęściej prowadzi je ktoś pochodzący z byłej francuskiej kolonii w Afryce Północnej, że ceny są w nich wyższe niż zazwyczaj i że sklepy te mają dogodne godziny otwarcia oraz duży wybór świeżych owoców. Dla turysty kupienie tam czegoś na piknik albo butelki wina, którą

później spróbuje przeszmyglować do pokoju hotelowego, stanowi powiew egzotyki. Dla paryżan sklepy kolonialne to naturalny element miejskiego krajobrazu, a niejednokrotnie wybawienie w potrzebie. Dają bowiem pewien komfort. Ci, którzy tam pracują, najczęściej należą do tej samej rodziny i klienci doceniają kameralność tych miejsc w na ogół anonimowym wielkim mieście.

Mancebo nie myśli wcale o tym, że siedzi i odkrywa Paryż. Nieświadomie rejestruje, co dzieje się na ulicy. Dopiero zapach jedzenia skłania go do przerwania obserwacji. Po raz pierwszy dzieje się to w porze lunchu. Wtedy piętro wyżej jego żona Fatima podaje jedzenie. Ale jeszcze zanim do Manceba dociera brzęk zastawy, do sklepu wpada jego kuzyn Tarik. Pracuje w pobliżu, właściwie dokładnie po drugiej stronie bulwaru, we własnym warsztacie szewskim. W warsztacie, który kiedyś zamknie i sprzeda, żeby przenieść się do Arabii Saudyjskiej i otworzyć tam szkołę skakania ze spadochronem. Tak przynajmniej każdego dnia się odgraża.

Tarik nie wie nic o spadochronach, ale pewnego dnia przed pięć laty przyszedł do niego jakiś mężczyzna, żeby wymienić fleki w butach. W czasie, gdy klej sechł, klient zdążył opowiedzieć Tarikowi, jak się przekwalifikował z konsultanta informatycznego i otworzył szkołę skakania na bungee w Jordanii. I tak się złożyło, że tego samego dnia przyszedł jeszcze trochę młodszy mężczyzna i powiedział, że przeprowadził się z żoną do Dubaju. Zamiast mordować się ze zwyczajną pracą w Paryżu, żyli tam teraz jak królowie. To właśnie w taki sposób Tarik wpadł na pomysł otwarcia szkoły skakania ze spadochronem w Arabii Saudyjskiej. „Saudyjczycy aż przebierają nogami, żeby wznieść się w powietrze” – mawiał.

Był przekonany, że obwieszeni klejnotami ludzie w turbach tylko czekają, żeby nauczyć się skakać ze spadochronem. Jak długo będzie płynęła ropa, tak długo będą płacić. Tarik był

tego pewien. Wypożyczył już nawet z biblioteki książki o Arabii Saudyjskiej. Fatima uważa jednak, że byłoby lepiej, gdyby najpierw opanował skakanie ze spadochronem.

Tarik nie odkrywa Paryża w ten sam sposób co Mancebo, siedzi w warsztacie i przeważnie pali w biurze. Mancebo może się rozkoszować tylko jednym papierosem dziennie, choć miałby ochotę na więcej. Ale Fatima pozwala mu zapalić jedynie po obiedzie. „Jak by to wyglądało, gdyby w sklepie kolonialnym pachniało dymem!” – powtarza.

Twierdzi też, że ma alergię na dym papierosowy, i dlatego Mancebo nie może palić w domu. Właściwie nie boi się swojej żony, nie wtedy, gdy dzień toczy się tak, jak powinien. Gdy on pracuje – siedem dni w tygodniu – Fatima siedzi w domu. Mancebo nie wie właściwie, czym się tam zajmuje, ale nie waży się spytać. Musi chyba przygotowywać jedzenie, bo posiłki zawsze czekają na niego na stole.

Tarik i Mancebo pracują i mieszkają blisko siebie. Tarik i jego żona Adèle zajmują mieszkanie nad sklepem, a Mancebo, Fatima i ich syn Amir nad nimi. Ale powinno być na odwrót, upiera się Mancebo. Bardziej naturalne byłoby, gdyby to on mieszkał w mieszkaniu Tarika, bo wtedy każdego dnia musiałby pokonać tylko jedno piętro w dół, żeby otworzyć sklep, i jedno piętro w górę po jego zamknięciu. Ale Fatima tak nie uważa. „To jedyny ruch, jakiego zażywasz” – przypomina.

Przed kilkoma laty, gdy Mancebo miał więcej energii, zajmował się wynajdywaniem argumentów, które przemawiałyby za ewentualną zamianą mieszkań. Pierwszym i najważniejszym było to, że jest dużo starszy od Tarika i za kilka lat schody mogą stać się dla niego utrapieniem. Po drugie, wstawał wcześniej niż pozostali i mógł ich obudzić, schodząc po schodach. A po trzecie, Fatima zawsze przygotowuje jedzenie na pierwszym piętrze, bo tam jest lepszy piekarnik.

Było więc jasne jak słońce, w każdym razie dla Manceba, że jego rodzina powinna dostać mieszkanie na pierwszym piętrze. Starannie przygotował swoje argumenty i zaprezentował je nad porządnie ugrillowanym kurczakiem. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu nie znalazł poparcia, nawet u żony, do dziś jeszcze uważa to za coś dziwnego. Fatima jednak zaczęła sobie z niego wręcz żartować i zapytała, czy pozbierał już podpisy ludzi z okolicy. Tarik śmiał się – jak zawsze, Adèle milczała – jak zawsze, a Amir nawet nie słuchał jego wywodu. Teraz Mancebo nie miał już ani czasu, ani energii, żeby dalej przekonywać resztę do zamiany mieszkań.

Jeśli ktoś pyta Manceba, czym się zajmuje, ten odpowiada, że pracuje w branży usługowej. Jeśli ktoś chce uzyskać dokładniejsze wyjaśnienie, Mancebo mówi, że jest właścicielem sklepu kolonialnego. To wszystko prawda. A jeśli ktoś zastanawia się, gdzie znajduje się jego sklep, Mancebo wyjaśnia, że leży u stóp Montmartre. Z tym można dyskutować.

Podoba mu się myśl, że mieszka i żyje u stóp białej, przypominającej głowę cukru bazyliki Sacré-Cœur. Ta odpowiedź sprawia jednak, że wielu myśli, że znajdzie Manceba i jego mały sklep przy niewielkim Place Parvis du Sacré-Cœur albo wciśnięty gdzieś pomiędzy uliczki Montmartre, ale nic z tych rzeczy. Oczywiście z Boulevard des Batignolles można dostrzec kościół w Montmartre, ale daleko na horyzoncie, na samym szczycie wzniesienia.

Fatima uważa, że jest dziecinny, gdy mówi, że sklep leży u stóp Montmartre, i prychnie za każdym razem, gdy to słyszy. Czasem ciągnie go nawet za ucho. Wtedy Mancebo mówi, że nikt nie wie, jak duże stopy ma Montmartre. I jest to prawda.

Codzienne nawyki Manceba wyznaczają zapachy i znaki wysyłane mu przez miasto i jego mieszkańców, tak że nie potrzebuje nosić zegarka. Ma jednak budzik, który dzwoni każdego

ranka tuż po piątej. Kwadrans później Mancebo siedzi już w białej furgonetce i jedzie do Rungis, na południe od Paryża, żeby kupić świeże warzywa i owoce. Chwilę po ósmej jest z powrotem w Paryżu i kilka minut później zagląda do François, do Le Soleil na szybką kawę, która starcza mu za śniadanie.

Stała miejscówka kuzynów, bar Le Soleil, tworzy razem ze sklepem kolonialnym Manceba i warsztatem szewskim Tarika trójkąt. „Złoty trójkąt” – ma w zwyczaju żartować właściciel baru. To aluzja do słynnego złotego trójkąta między trzema renomowanymi kawiarniami w mieście: Café de Flore, Les Deux Magots i Brasserie Lipp. „Trójkąt bermudzki” – odpowiada na to zawsze Tarik. Ani François, ani Mancebo nie rozumieją do końca tego porównania.

O dziewiątej Mancebo podnosi kraty i sklepik oddycha porannym powietrzem. Później pracuje aż do chwili, gdy poczuje zapach jedzenia. Opuszcza kratę, gdy nadchodzi pora lunchu. Po skończonym posiłku – to, ile trwa, zależy od jedzenia i tematu toczonyj przy stole rozmowy – Mancebo schodzi na dół i znów podnosi kratę. Po południu opuszcza ją jeszcze raz, gdy nadchodzi pora, żeby wypić pastis z Tarikiem w Le Soleil. Potem pracuje, aż intensywny zapach jedzenia znowu rozniesie się po sklepie, czyli mniej więcej do dziewiątej. Wtedy opuszcza kratę już na dobre.

Tak minął kolejny dzień. Mancebo znów odkrywał Paryż ze swojego taboretu. Jak zwykle podlicza dzienny utarg, związuje pliki banknotów recepturkami i wkłada je do plastikowej torby. Trafia do banku. Zapach pożywnej potrawy z fasoli wdziera się do sklepu przez szczelinę w drzwiach jak przez wpółotwarte usta.

Tak jakby woń jedzenia po tych wszystkich latach znalazła własną drogę przez szparę w drzwiach i płynęła z kuchni na pierwszym piętrze na korytarz, po schodach na dół, żeby potem

wsączyć się przez drzwi prowadzące z klatki schodowej i korytarza prosto do sklepu. Oddech domu zdradza Mancebowi, kiedy nadchodzi pora, żeby złożyć stragan, a to z kolei jest sygnałem dla Tarika po drugiej stronie bulwaru, że czas zamknąć warsztat. Zapach wskazuje także, co znajdzie się tego dnia na stole.

Kiedy rano Mancebo otwiera sklep, daje się w nim jeszcze wyczuć oddech wczorajszego dnia, ale tylko przez kilka minut albo tyle, ile Mancebo potrzebuje, żeby wyciągnąć stragan z owocami i warzywami. Potem woń jedzenia miesza się z nieszczęśliwie czystym paryskim powietrzem.

Mancebo kończy podliczać pieniądze. Nie był to dobry dzień. Upał sparaliżował miasto, ale wygląda na to, że nadchodzi gorsza pogoda. Mancebo zamyka małe zielone drzwiczki na straganie z warzywami. To znak dla Tarika. Mancebo poprawia czarną czapkę, którą nosi przez cały rok. Czuje się bez niej nagi. Tak jak Adèle bez swojej chusty. Pamięta obiad, podczas którego dyskutowali o podobieństwach między jego czapką a chustą Adèle. Nakrycie głowy stało się częścią każdego z nich.

Fatima nie uważa, żeby czapka Manceba czy chusta Adèle pełniły jakąkolwiek funkcję. Ona sama nigdy nie założyłaby chusty, bo utrudniałaby jej tylko praktyczne zajęcia. Jeśli złości się na Adèle, że nie pomaga jej w obowiązkach domowych, mówi zgryźliwie, że chusty są dla tych, którzy tylko siedzą i przez cały boży dzień słuchają radia. W ciągu dnia Adèle nie robi nic poza tym i poza czytaniem. Jak twierdzi, nie może robić nic więcej z powodu wrodzonej wady kręgosłupa. Fatima podejrzewa, że to właśnie ta wada położyła w małżeństwie Adèle kres staraniom, by powiększyć rodzinę. Nawet nie sama wada, ale to, że ona i Tarik nie dochodzą do „pozycji dziecięcej”, jak zwykła to określać Fatima.

Mancebo wprowadza do środka stragan z owocami i warzywami. Tarik potrzebuje mniej czasu, żeby wieczorem wszystko poza-

mykać. W gruncie rzeczy musi tylko przekręcić klucz w drzwiach. Czasem zamyka już jakąś godzinę po wypiciu pastis w Le Soleil i resztę dnia spędza w biurze za warsztatem. Ale nigdy nie opuszcza go przed porą posiłku. „Co miałbym robić tam na górze z babami?” – pyta retorycznie.

Mancebo nie wie dokładnie, co robi w biurze w te dni, kiedy zamyka wcześniej. Sam Tarik utrzymuje, że ma duże kłopoty finansowe. Ale czasem czyta po prostu gazetę albo pali. Mancebo widzi to ze sklepu.

Do środka wchodzi kobieta w średnim wieku i Mancebo wita ją uprzejmie. Wie, kim jest. Często kupuje tu małe co nieco na wieczór. Zapewne duże zakupy robi gdzie indziej i do jego sklepu przychodzi tylko wtedy, gdy zapomni czegoś kupić. Dzisiaj są to solone krakersy i coca-cola. Płaci, Mancebo życzy jej miłego wieczoru i odprowadza do wyjścia. Kobieta znika, a w tej samej chwili do środka wchodzi Tarik, klepie kuzyna po ramieniu, otwiera drzwi na klatkę schodową i znika na górze. Zapach jedzenia bucha teraz przez otwarte na oścież usta sklepu.

Był to całkiem zwyczajny dzień. Dzień, który zaczął się tak jak wszystkie inne, upłynął tak jak wszystkie inne i jak sądzi Mancebo, co jest całkowicie zrozumiałe, również skończy się tak jak wszystkie inne dni. Choć właściwie nic nie sądzi. Dzień staje się niezwykły tylko wtedy, gdy poprzedza go zwykły okres. W tej chwili Mancebo nie myśli w gruncie rzeczy o niczym innym niż jedzenie.

A może jest tak, jak mówi Fatima, że im dłużej trwa dzień, tym bardziej władzę nad Mancebem przejmuje jego mózg gadzi. Rano koniecznie musi być żwawy i uważny, żeby pojechać do Rungis i policzyć, ile każdego towaru powinien kupić, a potem, po powrocie, spotyka rozmaitych ludzi i im służy. Ale im wyraźniej dzień zmierza ku końcowi, tym bardziej bierny się staje.

Preludium do zwolnienia tempa jest pastis w Le Soleil. Wtedy dzień zaczyna chylić się ku zachodowi i Mancebo nie daje rady myśleć już o niczym innym niż jedzenie i ten jedyny papieros.

Kraty zgrzytają, opadając na dół, a Mancebo starannie zamyka sklep na klucz, gasi światło i wchodzi na górę.

– Ho, ho – krzyczy, jakby chciał uprzedzić o swoim nadejściu.

Fatima miesza intensywnie pomarańczową potrawkę, a Tarik pali szesnastego papierosa tego dnia, uskarżając się jednocześnie, że nie miał dziś czasu zapalić.

– Słyszałeś to? – krzyczy Fatima. – Tarik nie miał nawet czasu zapalić.

Mancebo śmieje się i próbuje potrawki.

– Cześć, zgniły leniu – wita kuzyna, gdy już wejdzie na górę i nieco brutalnie zmierzwi włosy Amira, a później pocałuje Fatimę w policzek. We wszystkich tych trzech powitaniach kryje się sporo miłości.

Gorąc w pokoju jest nie do zniesienia. Adèle wygląda tak, jakby mimo chusty, która przykrywa włosy i część twarzy, najmniej jej to dokuczało. Jedzenie szybko zostaje ustawione na długim stole i siadają na dywanach, wszyscy poza Fatimą, która nadal krząta się dookoła. Tarik wykonuje gest ręką, jakby wydawał psu polecenie „siad”, żeby wreszcie zajęła miejsce. Fatima natychmiast siada, jakby tylko czekała na ten sygnał. Zabierają się do jedzenia. Tarik gasi papierosa, a Adèle odsłania twarz.

– Można tu umrzeć od samego biernego palenia – chrząka Mancebo głównie po to, żeby udobruchać żonę.

Jak zwykle wszyscy chwalą zdolności kulinarne Fatimy, wszyscy poza Adèle, która tego wieczoru jest niezwykle cicha. Wydaje się, że to przeszkadza Tarikowi.

Nagle Adèle wzdryga się, jakby coś ją przestraszyło, i rozgląda wokół stołu.

– Słyszeliście?

Fatima kręci głową tak, że trzęsie jej się podwójny podbródek, a potem wyciera łyżkę od dressingu silikonowym pędzlem kuchennym. Dzwoni komórka Amira, a matka pokazuje mu zamasztyłym ruchem ręki, że ma wstać od stołu, jeśli zamierza rozmawiać.

– Odpręż się, kochanie, to tylko telefon komórkowy. – Tarik próbuje uspokoić żonę.

– Nie, to było wcześniej, ktoś pukał... walił.

Ledwie udaje się jej skończyć zdanie, a słyszą to wszyscy. Zapewne ktoś wali tam na dole, między kratami a drzwiami sklepu kolonialnego. Tarik podnosi się, korzysta z okazji, żeby zapalić kolejnego papierosa i wyrzucić przez okno. Zaczęło mżyć i bulwar opustoszał.

– Nic nie widzę, ale, rzecz jasna, ktoś może być tam na dole.

Znowu zadudniło i Mancebo bez słowa wciąga na głowę czapkę i pośpiesznie rusza na dół. Właściwie się nie zastanawia, kto to może być, nawet nie próbuje zgadywać. Jest zbyt zmęczony, żeby myśleć. Schodzi głównie po to, żeby potem zjeść w spokoju i się położyć.

Przed sklepem stoi kobieta. Mancebo otwiera drzwi i podciąga kratę, kobieta wchodzi majestatycznie. No to już nie będzie dla mnie chleba, jak wrócę na górę – to jedyna myśl, która przebiega mu przez głowę. Wie jednak, że jego przeżycie zależy od dobrej obsługi i indywidualnego podejścia do klientów, a to wiąże się też z elastycznymi godzinami pracy. W przeciwnym razie ludzie mogą równie dobrze kupować jedzenie w Monoprixie lub pobliskim Franprixie. Wiele z jego towarów sprzedają tam za pół ceny. Tak czy inaczej, gdy wróci na górę, chleb prawdopodobnie już się skończy. Nieznajoma rozgląda się dookoła, jakby była zdziwiona, że weszła do sklepu kolonialnego. Potem się uśmiecha. Mancebo nie odwzajemnia uśmiechu. Kobieta uśmiecha się ponownie. Tym razem jej odpowiada.

– Czym mogę służyć, madame?

Znowu się rozgląda, jakby nie do końca rozumiała, gdzie jest. Jakby ktoś wpuścił ją tutaj z zawiązanymi oczami. A potem znowu się uśmiecha, ale Mancebo udaje, że tego nie widzi. Zaczyna być zmęczony i zastanawia się, czy przegapi także herbatę i ciasteczka.

Kobieta nagle zaczyna interesować się towarami, jakby w końcu zrozumiała, że właściciel sklepu nie ma cierpliwości czekać dużo dłużej. Miota się, Mancebo nie znajduje na to lepszego określenia. Drapie się pod czapkę i ziewa. Wtem klientka się zatrzymuje, ale tym razem się nie uśmiecha, tylko patrzy na Manceba poważnym wzrokiem, bierze z półki słoik oliwek i idzie do kasy. Stawia go przed nim w ten sposób, jakby chciała mu pokazać, co znalazła w jego sklepie, jakby Mancebo miał zdziwiony wykrzyknąć: „Nie wiedziałam, że takie tutaj są!”. Nie doczeka się reakcji, więc podnosi słoik kilka centymetrów nad ladę i jeszcze raz głośno go stawia.

– Coś jeszcze? – pyta zmęczony i poirytowany Mancebo.

Nie wie, co ta kobieta sobie myśli. Ona zaś bierze słoik z oliwkami po raz trzeci i znowu go stawia, jakby chciała, żeby Mancebo coś zrozumiał, kręci przy tym tajemniczo głową i patrzy w stronę ulicy. Potem płaci, dziękuje i odchodzi ze słoikiem oliwek w ręce, jakby trzymała pałeczkę sztafetową. Mancebo znów zamyka sklep i kręci głową.

– Istna wariatka – sapie już na górze, po tym, jak kolejny raz tego wieczoru pokonał schody.

– Właśnie to powiedziałem – zapewnia Tarik. – Gdyby zamknąć wszystkich paryżan, a potem wypuścić tylko tych zdrowych, nie ostałby się w tym mieście nawet milion mieszkańców.

Fatima śmieje się i pokazuje czule, choć na swój sposób, że odłożyła mężowi trochę chleba. Mancebo sięga po ciepłą pitę, a w tej samej sekundzie ktoś znowu wali w drzwi na dole.

Wszyscy przy stole patrzą na siebie. Czy dobrze słyszeli? Fatima marszczy brwi i wychodzi do kuchni.

Walenie się powtarza, tym razem jest bardziej zdesperowane, ale Mancebo siedzi nieporuszony i je swój chleb. Kiedy łomot rozlega się po raz trzeci, wszyscy wlepiają w niego wzrok, żeby dać mu do zrozumienia, że musi coś z tym wreszcie zrobić. Mancebo bierze chleb w rękę i nawet nie mrugnawszy, schodzi zdecydowanym krokiem po schodach, których miał nadzieję już więcej tego dnia nie oglądać. W połowie drogi zauważa, że zapomniał zabrać czarną czapkę. Ponieważ nigdy nie przyszłoby mu do głowy spotkać się z kimś obcym bez nakrycia głowy, zawraca i natrafia na zażartą dyskusję. Rzadko zdarzają się w jego rodzinie dłuższe chwile ciszy. Adèle szybko na niego zerka, ale nikt inny go nie zauważa.

Mancebo zapala lampę nad kasą, mruży oczy, spoglądając na drzwi i kratę, ale nie widzi tam nikogo i zaczyna mieć wątpliwości, czy naprawdę ktoś pukał. Zaczyna bębnić palcami w futrynę, żeby szybciej minęło mu te kilka sekund, które postanowił przeczekać. Potem już tylko nasłuchuje, czy dojdzie do niego jakiś niezwykły dźwięk. Ale wokół panuje cisza, poza delikatnym stukotaniem deszczu.

Ziewa i gasi lampę. Chwila minęła i już niemal zapomniał, co w ogóle porabia tutaj na dole, w sklepie. W tym samym momencie, gdy odwraca się plecami, znowu rozlega się stukanie, tym razem głośniejsze, jakby ktoś posługiwał się czymś ciężkim. Teraz cię mam – myśli Mancebo, zapala światło i rusza w stronę drzwi zdecydowanie, choć z pewną rezerwą, pamiętając, co powiedział Tarik o wszystkich wariatach w tym mieście. Im jest bliżej, tym bardziej wzmagają się deszcz. Widzi kobietę, która kilka minut wcześniej kupiła oliwki. Jej uśmiech wskazuje, że sama uważa całą tę sytuację za krępującą, ale nie ma wyboru.



Kiedy Mancebo otwiera drzwi, deszcz pada mu na palce. Na wszelki wypadek zostawia kratę opuszczoną i patrzy na kobietę w długim czarnym płaszczu i czarnych półbutach. Jej włosy, które teraz, gdy są mokre, wydają się niemalże czarne, dziwnie kontrastują z bladą skórą. Unosi słoik z oliwkami, jakby już sam jego widok miał skłonić Manceba do podniesienia kraty. Deszcz pada do środka, a Mancebo chce wreszcie raz na zawsze zakończyć to osobliwe spotkanie.

– Czego madame sobie teraz życzy? Mogę w czymś pomóc?

Zaskakuje go własna cierpliwość. Nieznajoma zaczyna histerycznie kiwać głową.

– Tak, może mi pan pomóc, monsieur..

Milknie, jakby chciała, żeby Mancebo dopowiedział nazwisko, ale on nie ma na to najmniejszej ochoty.

– Tak, może mi pan pomóc, monsieur, ale najpierw muszę panu wpuścić.

– Sklep jest już zamknięty, madame. Czy to coś nie może poczekać do jutra?

Kobieta kręci głową.

– Nie, to nie może poczekać do jutra.

Wydaje się zdesperowana. Mancebo rozgląda się dookoła, żeby sprawdzić, czy jest z nią ktoś jeszcze, ale dostrzega tylko kilka osób truchtających po bulwarze. Złapał je deszcz. Kobieta kurczowo ściska w ręce słoik z oliwkami. Mancebo rozumie, że to jego użyła, gdy pukała po raz drugi. Nieznajoma wlepia teraz wzrok we właściciela sklepu.

– Obiecuję, monsieur, że nie zostanę dłużo.

W końcu Mancebo podnosi kratę i kobieta wkracza do środka jak przemoczony kot: szybko i z gracją. Ściąga kaptur i kręci głową. A potem uśmiecha się, tym razem jest to sympatyczny uśmiech, i rozgląda po sklepie. Tak jakby po wejściu zapomniała o tej pilnej sprawie.

Mancebo wyczuwa w powietrzu napięcie. Nigdy wcześniej nie przydarzyło mu się nic podobnego. Było to jakieś urozmaicenie w jego tak uporządkowanym życiu, może dzięki temu będzie miał do opowiedzenia coś więcej niż zwykle. Zazwyczaj tylko Tarik przychodzi z dowcipami i emocjonującymi historiami. Większość z nich wyczytał, rzecz jasna, w internecie, ale to już coś. Żeby jakoś usprawiedliwić milczenie, Mancebo mówi zawsze, że jak się ma warsztat szewski, to ma się też czas na czytanie głupot, inaczej, niż kiedy się prowadzi sklep kolonialny.

Deszcz przestał padać w chwili, gdy kobieta weszła do środka. Tak jakby właśnie w nią celowali bogowie pogody. Mancebo wyczuwa lekkie napięcie, więc nie wyrzuca jej od razu, tylko się jej przygląda, chociaż z dystansu. Ona śmieje się i stawia na ladzie słoik z oliwkami, za który już zapłaciła.

– Żeby nie sądził pan, że go ukradłam.

Tak jakby starała się zyskać na czasie, jakby nie chciała wracać na bulwar. Ale jeśli coś tam na zewnątrz napawa ją lękiem, to dlaczego szuka schronienia właśnie tutaj? – zastanawia się Mancebo. W pobliżu są bary i restauracje, a nawet McDonald wciąż jeszcze otwarty. Jego sklep jest natomiast zamknięty, a ona nie mogła być przecież pewna, że Mancebo usłyszy pukanie i zejdzie na dół otworzyć. Kobieta przesuwa długimi bladymi palcami po puszkach z konserwami, jakby sprawdzała, czy są zakurzone.

– Madame, czym mogę teraz pani służyć?

Wygląda na nieco zawiedzioną, jakby pytanie padło zbyt wcześnie.

– Proszę mówić mi Cat – szepcze i podaje mu rękę.

Mancebo ściska odruchowo jej dłoń i zastanawia się, co przed chwilą powiedziała.

– Madame Cat?

– Wystarczy po prostu Cat.

– Jak kot?

Przytakuje. Mancebo również odpowiada jej kiwnięciem i ogarnia go uczucie, że ta historia robi się coraz lepsza. Całkowicie już zapomniał o ciastkach i herbacie na gorze.

– W czym mogę pomóc... madame... Cat?

Kobietę nagle ogarnia niepewność.

– A więc w czym mogę pomóc? – ponagla Mancebo.

– Jest pan jedyną osobą, która może mi pomóc, monsieur...

– Mancebo.

– Czy możemy tutaj spokojnie porozmawiać?

Mancebo kiwa głową i prostuje plecy. Lubi czuć się ważny. Nigdy wcześniej nie był tym jedynym, który mógł w czymś pomóc. Mogło się kiedyś zdarzyć, że uratował jakąś imprezę, gdy wszystkie inne sklepy spożywcze były już zamknięte, albo przyszedł z pomocą, gdy w trakcie pieczenia ciasta zabrakło jakiegoś składnika albo gdy ktoś zapragnął zrobić spontaniczny piknik. Ale nikt wcześniej mu jeszcze nie powiedział, że jest jedyną osobą, która może pomóc. Madame Cat posyła szybkie spojrzenie na chodnik.

– Chciałabym prosić pana o przysługę. Albo mówiąc ściślej, chciałabym zaoferować panu pracę.

– Ja już mam pracę.

– Tak, i właśnie dlatego, że ma pan już pracę, chcę zaproponować panu inną.

Mancebo patrzy na nią sceptycznie.

– Nikt nie będzie w stanie wykonać tej pracy lepiej od pana, monsieur Mancebo.

Deszcz znowu się wzmacnia, a kilkoro radosnych nastolatków przebiega bulwarem, trzymając się za ręce. Ich śmiech sprawia, że madame Cat się wzdryga.

– Chciałabym, żeby śledził pan mojego męża.

Mancebo po raz pierwszy w czasie tej rozmowy zaczyna się zastanawiać, czy to żart. Ale kiedy patrzy w oczy madame Cat, dociera do niego, że nie żartuje. Że jest tak poważna, jak tylko poważna może być kobieta.

– Mam śledzić pani męża? Niby czemu? I dlaczego, na Boga, mam to być właśnie ja? Nie mam czasu, żeby biegać całymi dniami za jakimś nieznanym mi mężczyzną. Czy nie widzi pani, ile mam już na głowie? Wstaję o piątej rano, żeby pojechać i kupić towar, a lampa pali się tu aż do północy.

– Właśnie dlatego – mówi kobieta. – Sam pan sobie odpowiedział. Czy widzi pan tamten dom?

Wskazuje długim, wciąż jeszcze mokrym palcem drugą stronę bulwaru. Mancebo spogląda na budynek, na którego parterze Tarik ma warsztat szewski. Jest identyczny jak ten, w którym właśnie się znajdują. To znaczy, na dole jest sklep, a nad nim dwa piętra z jednym mieszkaniem na każdym piętrze. Jedyna różnica polega na tym, że dom naprzeciwko jest wolnostojący i ma z boku schody przeciwpożarowe.

– Mieszkam tam z mężem na ostatnim piętrze. Mieszkanie pod nami stoi puste. I od pewnego już czasu podejrzewam, że mąż mnie zdradza. Często nie ma mnie w Paryżu, podróżuję, jestem stewardesą, a ponieważ on jest pisarzem, pracuje w domu. Albo kiedyś pracował, bo teraz nagle zmienił przyzwyczajenia. Nie pisze już tak dużo... a moja przyjaciółka widziała go kilka razy na mieście w ciągu dnia.

– Ale na jakiej podstawie sądzi pani, że panią zdradza?

– Kobieta czuje coś takiego.

Mancebo ze zmęczenia zaczyna ją boleć plecy, nie mówiąc już o sercu, które nie jest przyzwyczajone do takiego napięcia, ale z głową wszystko jest w porządku. Podnosi rękę i daje znak kobiecie, żeby nigdzie nie odchodziła, sam zaś znika i wraca po chwili z dwoma taboretami. Madame Cat siada i rozpina płaszcz.

Mancebo odczytuje to jako zapewnienie, że ona mu ufa, i czuje się zaszczycony. Prawda jest taka, że kiedy zajmuje swoje miejsce, rozpira go duma.

Jej włosy zaczynają schnąć i Mancebo zgaduje, że suche mają kolor czekoladowobrązowy. Mimo zachęcającego gestu nie ma zamiaru przyjmować tego zlecenia, z chęcią pozna jednak szczegóły tej emocjonującej historii. Każdego dnia wysłuchuje plotek o mieszkańcach okolicy, ale nigdy jeszcze nie słyszał nic podobnego.

– Ale potrzebuje pani przecież więcej dowodów na zdradę niż samo to, że czasem wychodzi w ciągu dnia na miasto.

– I mam je. Wydaje się zestresowany.

Madame Cat milknie, jakby próbowała wpaść na coś jeszcze, co zmieniło się w ostatnim czasie.

– I do tego wraca do domu z książkami.

– I? Wydaje mi się, że powiedziała pani, że jest pisarzem, w takim razie nie ma w tym chyba nic dziwnego?

– No tak... ale on pisze kryminały i przyjemność sprawia mu wyłącznie czytanie takich książek, a przynosi do domu najróżniejsze. Pewnego dnia znalazłam książkę o przycinaniu drzewek owocowych.

– No i?

Madame Cat patrzy na Manceba.

– Mieszkamy w kamienicy.

Mancebo się peszy. Nie czuje się najprzebieglejszym z detektywów, chociaż samo to, że mężczyzna przestał pisać, nie musi chyba oznaczać, że jest niewierny. Istnieje w końcu coś takiego jak brak natchnienia – myśli. A żeby oskarżyć go o zbrodnię przeciwko instytucji małżeństwa, potrzeba mocniejszych dowodów niż to, że ktoś go widział w ciągu dnia poza domem.

– A jak miałbym rozpoznać pani męża? – pyta Mancebo głównie po to, żeby pokazać, że potrafi trzeźwo myśleć, chociaż właśnie się zbłądził.

Madame Cat patrzy na niego pytająco.

– No przecież tylko my dwoje mieszkamy w budynku naprzeciwko, a on zazwyczaj nosi brązową czapkę z daszkiem. Zamierzałam wynająć profesjonalnego prywatnego detektywa i nawet do kilku dzwoniłam. Wie pan, że w Paryżu mamy dwa tysiące trzydziestu siedmiu prywatnych detektywów?

Mancebo kręci głową i chłonie informacje. Lubi krótkie albo niezwykle wiadomości, dzięki którym może później brylować w Le Soleil.

– A w zeszłą sobotę, w czasie lunchu, gdy poszedł kupić papierosy, skorzystałam z okazji i przejrzałam jego komputer. I właśnie wtedy zobaczyłam pana siedzącego na taborecie przed sklepem. Właściwie musiałam tak pana widzieć już tysiące razy, ale dopiero wówczas wpadłam na ten pomysł. Dotarło do mnie, że nikt nie wypełni tego zadania lepiej od pana! Nikt nic nie będzie podejrzewał, siedzi pan tam przecież cały czas, od rana do późnego wieczoru. A dla pana nic się znacząco nie zmieni.

Madame Cat obniża głos i przysuwa się do Manceba.

– Jedyne, czego oczekuję, to żeby składał mi pan pisemne raporty o tym, co dzieje się w ciągu dnia i wieczorami. Kiedy mój mąż wychodzi, kiedy wraca, kto wchodzi do mieszkania i wszystko inne, co według pana może być interesujące. Dostanie pan za to godziwe wynagrodzenie, taką samą stawkę jak profesjonalni detektywi. Pieniądze będą panu zostawiać rano w każdy wtorek w czymś takim.

Podnosi słoik z oliwkami. Mancebo drapie się po głowie i już ma ściągnąć czapkę, ale się powstrzymuje.

– Pieniądze będą w słoiku po oliwkach?

Madame Cat przytakuje.

– Mieszkam tutaj już na tyle długo, że wiem, że w każdą niedzielę wieczorem wystawia pan szkło do wyrzucenia, prawda? Wtedy włoży pan tygodniowy raport do pustego słoika po oliwkach,

a ja z kolei odbiorę go następnego ranka przed siódmą. Tygodniowa dostawa konserw przyjeżdża wcześniej rano we wtorki, często zanim jeszcze zdąży pan otworzyć sklep. Od tej pory wśród puszek będzie się znajdowało także pańskie wynagrodzenie.

Mancebo znowu drapie się po głowie.

– Proszę mi wybaczyć, monsieur Mancebo, ale pańską odpowiedź muszę poznać od razu. Czekałam już wystarczająco długo.

Pewnego dnia Helena słyszy pytanie: „Czeka pani na pana B.?”. Powinna zaprzeczyć, ale potwierdza. Trafia do niemal pustego biurowca i ma przekierowywać zaszyfrowane mejle. Każdego wieczoru czeka na nią bukiet kwiatów. Ale nawet tak niewinny prezent ma swoje konsekwencje i Helena zostaje wciągnięta w życie i dramaty innych ludzi, nawiązuje nieoczekiwane przyjaźnie. Ale co to wszystko znaczy? Kim jest pan B.?

Mancebo prowadzi mały sklep kolonialny. Całymi dniami obserwuje barwne życie ulicy. Wszystko toczy się swoim rytmem, aż do pewnego wieczoru, gdy nieznajoma prosi go, by szpiegował jej męża. Nagle sprzedawca zostaje prywatnym detektywem. I uświadamia sobie, jakie życie potrafi być niejednoznaczne.

Misje Heleny i Manceba nakładają się na siebie, a Miasto Światła odkrywa przed nimi tajemnice, o których istnieniu żadne z nich nie miało dotąd pojęcia...

MARGINESY.COM.PL

ISBN 978-83-65973-64-1



9 788365 973641

Cena 37,90

w sprzedaży także

